

To lubię!

Mariusz Kalandyk

Nowa opowieść o dżumie

Mogłaby być ciekawym eksperymentem myślowym i fabularnym. Na przykład postmodernistyczną wariacją na temat zarazy w świecie tak ponowoczesnym, że aż archaicznym, mającą za punkt odniesienia wszystko to, co na ten temat wiedział Albert Camus.

Szczęśliwe miasta padają pierwsze ofiarą zarazki. Niby wszystko toczy się normalnie: ludzie pracują, bawią się, chodzą do kawiarni i na plażę. Kobiety ubierają piękne sukienki, zaglądają do sklepów, rytualnie narzekają na swoich mężczyzn, udzielają się w kółkach różańcowych lub w ruchach feministycznych. Mężczyźni, jak to oni, chadzą na piwo lub na siłownię, uprawiają sporty ekstremalne, gadają o polityce lub o meczykach.

W takiej powieści początkowy stereotyp powinien kłuć w oczy. Być znakiem poczucia bezpieczeństwa, sytości oraz przekonania, że tak będzie zawsze.

Czy nowa *Dżuma* winna iść w ślady starej? Pokazywać egzystencjalny a zaraz potem filozoficzny wydźwięk ludzkich wyborów na podstawie wyraziście zakreślonych

portretów literackich kilku postaci? Myślę, że to rozsądny pomysł.

Spróbujmy więc stworzyć portrety alternatywne – na nowe czasy.

Doktor Rieux. Jest zamożny; pracuje w kilku miejscach, ale nie goni za pieniędzmi. Takie są realia. W mieście brakuje specjalistów i by system mógł funkcjonować, trzeba udzielać się i tu, i tam. Tam, gdzie nieźle pieniądze i mniej zobowiązań – również. Jest jeszcze popularnym muzykiem rockowym; kontestuje to, co go otacza. Nie ma większych złudzeń co do charakteru świata, w którym żyje.

Zaraza niewiele zmieniła w jego życiu. Zaharowany przed, haruje obecnie. Czy się boi? Ma potęgujące się z dnia na dzień poczucie groteskowości tego, co widzi. Nic tu nie jest serio! W pewnym momencie zaczyna oglądać świat przez pryzmat jednej z uciechliwych gier komputerowych, w których wygrana polega na rozjechaniu jak największej liczby przechodniów. Wariant jego platformy jest taki: ja jestem wirus – ty uciekasz! Żadna maska ci nie pomoże. Masz prawo chować się w tłumie. Im

więcej innych dasz mi do likwidacji, tym bardziej wzrastają twoje szanse. Lubię starców. Są doprawdy ucieszni!

Rieux nie ma złudzeń. Pracuje, bo jest lekarzem. Nie jest „w posiadaniu” żadnej misji. „Misja to może być na Marsa” – powtarza przy kieliszku Jasia Wędrowniczka. „Kiedyś było prościej” – dodaje. „Był lekarz i był on – wirus. Dziś nie ma zarazy – jest interpretacja sytuacji, redagowana w postaci przekazów dnia przez wytrawnych speców od zarządzania kryzysem oraz ich zleceńodawców – polityków. Ci z pierwszej linii mają prawo milczeć i robić swoje”.

Aha! Wywołany do tablicy, wziął udział w inicjatywie muzycznej #hot-16challenge2. Zaczyna tak: „Patrz, jak młody doktor wstaje/ Radio już nadaje”. A kończy: „Może ktoś powie – to nie odkrycie/ Takie jest normalne życie”. I wystarczy.

Ciekawie może wyglądać postać Ramberta. To on powinien być głównym bohaterem nowej powieści. Młody, rzutki dziennikarz, karierowicz-egocentryk, zakochany w pannie z innego miasta, ma stworzyć materiał, który da mu przepustkę do pracy w wielu renomowanych redakcjach. Jest *freelancerem*, należy do grupy prekarian: ludzi na posyłki, niewidzialnych sług systemu. Nie uznaje takich słów jak: poświęcenie, empatia, wyrzeczenie. Nigdy mu o nich nie mówiono; przeciwnie – wie, że to

egoizm jest dobry. W jego świecie daje gwarancje kariery i szczęśliwego życia. Wszystko, co nie służy założonemu celowi, jest chorobliwą oznaką słabości.

Choć zaraza objęła cały świat, Rambert chce wyjechać z miasta. Nie czuje się tu „u siebie”. Mierzi go wszystko; tym bardziej że izolacja pozbawia możliwości stworzenia zaplanowanego materiału. Nie poddaje się jednak. Nawiązuje kontakty z podziemiem gospodarczym. Poznaje wielu ludzi od robienia podejrzanych interesów i postanawia tą drogą zapewnić sobie wpływy. Na wszelki wypadek pracuje z ukrytą kamerą. Wyjeżdża także do kilku placówek, w których zarazek zabija wielu. Niespecjalnie się tym przejmuje; jest przecież narzędziem stworzonym do rejestracji i opisu rzeczywistości. Nie jest i nigdy nie będzie stąd.

Przyjrzyjmy się teraz stronie reprezentującej religię i eschatologię. Popatrzmy na jezuitę księdza Paneloux. Jest dobrze wykształconym teologiem; pesymistą, gdy myśleć o ocenie natury ludzkiej. Zawsze będzie stał „po stronie Boga” i z tego względu nie uważa się za humanistę. Świat jest dla niego miejscem starcia sił dobra i zła. On jest rycerzem dobra – co wydaje mu się i oczywiste, i niewymagające komentarzy. Nie zamierza więc tego tłumaczyć i obecnie swoim wiernym. Ma ich sporą grupę, wywodzącą się z elit tego dość konserwatywnego miasta.

Początkowo spotyka się z nimi w kościele dolnym na zorganizowanych przez siebie rekolekcjach. Nie zamierza łączyć nowej zarazy z wykładnią teologiczną. Realizuje wcześniejsze zamiary. Jest nowoczesnym retorem, zna siłę przekazu medialnego, z umiarem i wdziękiem wykorzystuje owe umiejętności. Gdy zamykają kościoły, spotyka się z wiernymi w przestrzeni multimedialnej. O czym mówi? O planie eschatologicznym ludzkiego życia. Dobrze istnienie przyniesie szczęśliwy finał: jednostkowe zbawienie. Bóg chce zbawić wszystkich – sugeruje – ale to nie jest możliwe. Wymyka się także zdroworozsądkowemu poczuciu sprawiedliwości. Diabeł i jego poplecznicy nie mogą być zbawieni; służą złu – czeka ich nicość. Paneloux nie wierzy bowiem w piekło – jest teologiem nowoczesnym.

Nowy rodzaj zarazka, który zabija przede wszystkim osoby starsze, nie budzi w nim teologicznej zgrozy. Potwierdza ugruntowane wcześniej przekonania. Ludzie zbyt mocno przywiązują się do doczesności; wirus przypomniał im prawdę, o której nie chcą pamiętać. Oto ludzkie życie się kończy. I co dalej? Czy istnieje przestrzeń pomagająca uporać się z tą przerażającą perspektywą? Paneloux gardzi zakładem Pascala. Żąda deklaracji pogłębionej, żarliwej i oddanej Kościołowi – instytucji prawdziwie powierniczej.

Tak, bywa w szpitalach i w sterylnych, przygnębiających domach starców. Udziela ostatniego namaszczenia; rozmawia z nieszczęśliwymi samotnymi osobami, których nie tylko zaraza, ale i otaczający świat, pozbawili najbliższych. Czuje czasami satysfakcję, ale coraz bardziej wstydzi się jej. Czytał kiedyś Dostojewskiego i Camusa. Pamięta słowa Iwana Karamazowa i Bernarda Rieux o tym, że nigdy nie zgodzą się na świat stworzony przez Boga, gdzie dzieci muszą umierać. Jego to nie dotyczy.

Na koniec jeszcze jedna postać – niespełniony wciąż literat, kiedyś uważany przez niektórych za właściwego głównego bohatera – Joseph Grand. Nikt pewnie nie chciałby być stuprocentowym Grandem. Dobrym, bo dokładnym pracownikiem, ale stanowczo zbyt delikatnym, mało zaradnym, nieśmiałym, niewiele wymagającym dla siebie od świata – safandulą! Bo tak dziś byłby przez większość traktowany. Dziś byłby raczej komediowym przykładem człowieka-pomyłki z innej bajki i wymiaru czasowego. Zginąłby pierwszy, przejechany przez wóz straży pożarnej lub samochód spanikowanego właściciela tego i owego, szukającego w aptece maści na porost włosów. Wedle dobrych rad domorośłych medyków tylko gęsta broda albowiem chroni przed wirusem, który poprzez ruch owych włosów wymieciony zostaje

metr od otworu gębowego właściciela tejże. Stąd pośpiech, by zdążyć i by nie wykupili!

Grand jest przykładem dawnej normalności; dążenia do porządku, precyzji a nawet doskonałości. Coś, co ma istnieć długo, nie może być zrobione szybko i byle jak. Stąd owa, w swej osnowie pewnie modernistyczna, obsesja literacka bohatera. Pisanie bez końca jednego zdania tak, by brzmiało doskonale, wcale nie było absurdalne. Niedawno zmarły Jerzy Pilch, mimo swej złośliwości, z pewnością w tym względzie dobrze rozumiał Granda. Wszak jeżeli początek brzmi źle, cała reszta staje się w sposób dramatyczny mniej wartościowa.

Jak może więc brzmieć owo pierwsze zdanie powieści Granda

w naszym świecie? Pojęcia nie mam. Czy ma być tak samo niezwiązane z otaczającą autora rzeczywistością? Tak samo, za przeproszeniem, eskapistyczne? A co dziś nie jest eskapistyczne? Może wszyscy stajemy się nieuchronnie internetowo-smartfonowymi zombies i zdanie dotyczące roku zarazy powinno dotyczyć owej emigracji? „W piękny poranek majowy wytworna amazonka, siedząc na wspaniałej kasztance, jechała kwitnącymi alejami Lasku Bulońskiego i spoglądała w ekran najnowszego modelu iPada”. Może tak?

I jeszcze jedno. Pamiętajmy o przypadku Ramberta. Nie zapominajmy o Rambercie!

Mariusz Kalandyk